Poczta opłacona zgóry

Cena 25 gr.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: *Ed. Burschego, J. Szerudy, K. Seriniego, A. Suessa, K. Michejdy, ks. prefekta Gloeha* — z Warszawy, *ks. G. Manitiusa* z Poznania, oraz członka Warszawskiego Kolegjum Kościelnego: *p. mec. H. Eberhardta, prof. gimnazjum im. M. Reja, O. Bartla, prof. gim. zgierskiego, A. Wajgelta.* Pod naczelną redakcją I pastora Zboru Warszawskiego, *ks. radcy A. Lotha.*

Cena prenumeraty wraz z przesyłką pocztową: 3 zł. kwartalnie. Pojedyńczy numer 25 groszy.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI
WARSZAWA ulica Kredytowa Nr. 4.
Prócz administracji prenumeratę przyjmuje:
w Warszawie, księgarnia W. MIETKE, Wspólna 10
w Łodzi, księgarnia RENNERA, Piotrkowska 65
i w Cieszynie, p. A. CYMOREK, Prutka 27.

Wychodzi raz na tydzień w niedzielę.

Ogłoszenia: Kolumna zawiera 4 szpalty ogłoszeń. Za wiersz nonparelowy po tekscie 20 groszy w tekscie 40 groszy.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 1508.

Rok IX. WARSZAWA, dnia 16 września 1928 roku **Nr. 38**

Duch i ciało

Co się narodziło z ciała, ciałem jest, a co się narodziło z Ducha, duchem jest. Jan 3, 6.

Temi słowy Jezus oznacza przyczynę, dlaczego to narodzenie się na nowo jest koniecznem. „Co się narodziło z ciała, ciałem jest". Ludzie są ciałem — cóż to znaczy? Jedni przy tych słowach myślą o najstraszniejszych grzechach, które się w ciemności ukrywają. Inni sądzą, że tu mowa o znikomości człowieka, stworzonego wprawdzie na obraz i podobieństwo Boże, a jednak więdnącego jako kwiat trawy. Ale wszak jedno i drugie jest tylko rezultatem tego, że człowiek jest ciałem, że nie rządzi nim już Duch Boży, lecz siły i moce tego świata. Być ciałem — to oznacza stan oderwania od Boga przez grzech, określa niezdolność dopomożenia sobie samemu. A to dotyczy bez wyjątku wszystkich z niewiasty narodzonych, wszystko jedno, czy ta ich matka nazywała się Sara, czy Jezabela, czy Monika.

Otóż wszystko zależy teraz od tego, jakie stanowisko człowiek zajmuje względem tego swego stanu: czy sam sobie chce dopomóc, czy też wygląda pomocy od Boga i o nią do Niego się zwraca. Od samego początku, od pierwszego grzechu, zaznaczyły się te dwie drogi. Część ludzkości chciała tę ziemię obrócić w przybytek radości i wesela. Wszelkiemi siłami starano się opanować to wszystko, co ta ziemia daje. Mądrość, potęga, kultura, używanie — te słowa stały się hasłem życia. Czyż człowiekowi to jest wzbronione? Czy nie stworzył Bóg wszystko dla człowieka? Bezwzględnie. Lecz należy sobie uświadomić, skąd to dążenie pochodziło.

Otóż z ową chwilą, gdy człowiek przez grzech utracił raj, chciał go sobie sam zgotować, żeby Bogu pokazać, że nie jest jeszcze tak nieszczęśliwym, że grzech nie to jest tak wielkiem znów nieszczęściem, że i bez Boga może się obyć. Ten Bogu wrogi pierwiastek, który się przejawił w pierwszych kulturalnych dążeniach ludzkości (1 Moj. 4, 16 — 24), niestety bardzo często po dzień dzisiejszy się przejawia w tem wszystkiem, o czem mowa. Słowo Boże nazywa ten rys w człowieku, że nie chce on nic wiedzieć o Bogu i wieczności, że szuka życia w znikomych rzeczach tego świata, „życiem według ciała" lub też „nieprzyjaźnią przeciw Bogu" (Rzym. 8, 5 — 8).

A jednak z drugiej strony widzimy we wszystkich czasach takich ludzi, którzy, aczkolwiek byli „ciałem", nie żyli według ciała. To ich właśnie najwięcej bolało, że są ciałem, że są oddzieleni od Ojca w niebiesiech, że nie widzą możności połączenia się z Nim. Bo czyż nie jest to strasznem nieszczęściem, że się odczuwa swe zepsucie i nie ma dosyć sił, aby je przezwyciężyć.

Przyjrzyjmy się człowiekowi: dziś rozpacza, bo mu się drobnostka jakaś nie udała, jutro już staje się dumnym i wyniosłym na skutek nic nie znaczącego powodzenia. Poznaje następnie, jak jedno i drugie nie miało sensu, a wkrótce dzieje się z nim to samo. Oto, to jest „ciało".

Albo: jesteś przekonany o tem, że największym darem Bożym jest Jego Słowo, a największem prawem człowieka — rozmawiać w modlitwie z Przedwiecznym. Zwracasz duszę swoją w tę stronę, a za chwilę myśl twoja przeciwko woli twej uleciała gdzieś w dal i błądzi, niewiadomo gdzie. Czyż to nie jest naszem nieszczęściem, że takimi jesteśmy?

Ci, którzy poznali, że są ciałem, nie narzekają na złość i przewrotność świata, na podłość ludzi, na zmienność losu i niestałość szczęścia, lecz na to, że takimi są, opętanymi przez grzech, niezdolnymi sami sobie dopomóc, ale nie rozpaczają, lecz tem wytrwalej walczą przeciwko temu, tem serdeczniej modlą się: Panie dopomóż, ulecz mnie, a uleczony będę. Tacy dopiero są przygotowani na przyjęcie Ducha, ci zrozumieją, co to znaczy: być narodzonym z Ducha. Na nich się spełni, co Bóg obiecuje przez usta proroka: Ja pragnącemu dam darmo ze źródła wody życia.

Ku niebiosom, duchu mój,
Wznieś się, boś ty rodem z nieba,
Takich dóbr, co z ziemi są,
Tobie zgoła nie potrzeba;
Duch, gdy go oświeci Bóg,
W swój domowy wraca próg.

Ks. FELIKS GLOEH.

Z Podróży do Jugosławji

W drodze na Adrjatyk, dn. 3 kwietnia 1928.

Z Sarajewa — na Adrjatyk droga prowadzi przez Alpy Dynarskie. Już noc zapadła, już niektórzy znużeni pogrążyli się w sen głęboki. Wielu jednak oka nie zmrużywszy, stoi przy oknach wagonu i napawa się wspaniałemi widokami. Wspinamy się zębatą koleją na 2000 metrów wysokie szczyty górskie, aby następnie, takąż drogą — opuścić się w dolinę. Spoglądamy w dół, pod nami szumią rzeki i strumyki; zrzucając swe wody ze skał i urwisków, tworząc straszne, spienione, gniewne wodospady. Tam znowu w dali — spowite w biel śnieżną gór szczyty czołem sięgają obłoków. A nad niemi migocą miljony światełek niebieskich, planowo rozłożonych dokoła złocistego miesiąca. Cisza. Tylko słychać świst i sapanie lokomotywy i rytmiczny kół turkot. Mijamy pośpiesznie wąwozy, rzeki mosty, białe wstęgi dróg. — Wzrok się męczy od tych zmian kalejdoskopowych... W niektórych przedziałach — wesoło. To pan prof. Michałowski pokazuje sztuki i wprowadza w osłupienie swoją zręcznością młodzież, która stara się krytykować i dociec tajemnic jego. Za każdym razem, gdy czegoś dokona — wybucha śmiech ogólny, głośny a radosny i beztroski. W innym znowu przedziale odbywa się koncert: skrzypce, saksofon, cytra i śpiew. Zaś pan prezes Al. Janowski bawi wszystkich swemi humorystycznemi deklamacjami, udając aktora, pensjonarkę, lub amatora artystę — wyznania mojżeszowego. Czas schodzi prędko. Noc mija niepostrzeżenie. Wreszcie na krótki czas wszystko powoli ucicha — o g a r n ą ł w s z y s t k i c h s e n.

O godzinie 6 minut 30 we środę pociąg nasz stanął na stacji Gruż. Już na pół godziny przedtem wszyscy staliśmy przy oknach oglądając z podziwem nowe, urocze okolice nadmorskie. Pociąg nasz leniwie przeciągał tuż nad brzegiem zatoki zbaczając to w tę, to w ową stronę, po szynach — wijących się wężowo. Wreszcie przystaje. Na peronie — oczekuje nas nauczycielstwo i młodzież szkolna. Specjalny komitet opracował program przyjęcia naszej wycieczki. Po ceremonjach powitania ,udajemy się tramwajami do miasta Dubrownika, czyli Raguzy. Po drodze obserwujemy otoczenie, w którem sie znaleźliśmy. Tramwaj jedzie nad zatoką morską, otoczoną zewsząd górami. Zbocza górskie, pokryte sadami drzew oliwkowych, figowych, migdałowych i innych. Niektóre góry zachowały kształt wulkanów. Są to wulkany od wieków wygasłe. W dali rozpościera się Adrjatyk, czyli morze Jadrańskie o ciemno - szafirowej toni. Zatoka wpada w kolor turkusowy. Chociaż według kalendarza już dawno zaczęła się wiosna i powinno było być dobrze ciepło, ale ten rok zawiódł widać cały świat, bo i tutaj panował chłód i deszcze. Mijamy z lewej strony okręty wojenne, a z prawej — morską akademję wojenną, cały szereg pięknych stylowych willi i domów bez kominów, ale z żaluzjami okienemi — jak we Włoszech, a tam oto szpital, później park. Wysiadamy przed cukiernią, położoną na tarasie, skąd, jak z balkonu rozpościera się widok na morze. Wszyscy kurczą się z zimna i żałują, że zawierzyli złudnej opinji i ubrali się w lekkie, letnie kostjumy, a ciepłą odzież pozostawiali w wagonach. Z tego powodu mało kto się interesuje cudami natury, a przeważnie, gdzie kto może szuka miejsca siedzącego. Pewna grupa młodzieży usiadła na otaczającej taras barjerze.

— Patrzcie, pod jak wielkim są wrażeniem — woła żartobliwie pan Janowski—aż się tyłem do morza odwrócili...

Ogólna wesołość była odpowiedzią na tę uwagę.

Otrzymujemy śniadanie w tejże kawiarni: dobrą białą kawę i bułki z masłem, naturalnie w pewnej ograniczonej normie. Kto ma większy apetyt — płaci sam za ten nadmiar apetytu. Po śniadaniu — mają nas zawieźć motorowemi łodziami na małą wysepkę Lakromę, gdzie w schronisku dla dzieci w byłej cesarskiej rezydencji — otrzymaliśmy wygodną, wspaniałą siedzibę na czas pobytu w Raguzie, stolicy Dalmacji.

Między Polakami spotkaliśmy tutaj naszego kompozytora pana Ludwika Rogowskiego, który przez cały czas był nam bardzo pomocny i informował nas o wszystkich sprawach i stosunkach miejscowych.

NB. Pan Rogowski jest autorem wielu pięknych utworów muzycznych, a między innemi melodji hymnu białoruskiego i „Misterjum św. Błażeja", o którym wspomina w poniżej przytoczonym opisie Dalmacji. Przytaczamy ten opis w całości.

ZE SŁOWIAŃSKIEJ RIWJERY.

Opsaisał L. M. Rogowski.

Dalmacja, — kraj zróżniczkowanych żywiołów: szczera skała i morze o wodach przeczystych, skąpo zamieszkałych.

Od Abbacji, aż po Czarnogórze i Albanję kraj uroczy, fantastyczny, pełen krajobrazów niespodziewanych, pełen wysp tajemniczych oraz wspomnień prastarych, zamierzchłych kultur.

Przez ciąg wieków człowiek walczy tu o prawo życia: wydziera skałom ziemię, ogradza ją troskliwie ciężkiemi głazami, by wiosenne nawałnice nie zabrały mu tego krwawego dobytku, sieje i sadzi w tych ufortyfikowanych polach, dopełniając twarde bytowanie poezją podań prastarych, bohaterskich.

Podobno ongi trzej bracia: Lech, Czech i Rus (czy też Mech), odeszli w świat z tych stron, pozostawiając siostrę — Tugę, może tęsknotę, nie wiem, jak to się tłomaczy językoznawczo.

W wielu starych osiedlach, szczególniej na wyspach, człowiek zdołał pokonać okrutne skały i stopiska wulkaniczne. Moc tam zieleni bujnej, radosnej w słońcu roziskrzonem, moc fig, cyprysów, oliwek, winnej łozy, pomarańczy i cytryn. Wszędzie tradycje sędziwe, dostojne, sięgające czasów pierwszych wieków naszej ery, klasztory i zamki, jakby wyjęte z bajki niewiarogodnej, groty — mieszkania smoków, doliny pamiętające skrzydlatego rumaka Królewicza Marka, kostjumy ludowe, godne ramion monarszych, a nad tem wszystkiem słońce i przestrzenie o wspaniałości marzenia w zaświatach.

Taką jest Dalmacja, — kraj słowiański, którym włada królewna Tuga, siostra Lecha, Czecha i Rusa, — królewna Tęsknota.

Wyjątkiem na przestrzeniach Dalmacji jest Raguza.

Klejnot Adrjatyku (czyli morza Jadrańskiego), równy Wenecji pięknością i tradycjami, historję ma własną, niezależną od dziejów Dalmacji.

Gdy morze jest spokojne, podobno można widzieć na dnie, w okolicach Cavtatu (Ragusa vecchia), starożytną osadę Greków: Epidaurus, zatopiony w czasach wędrówek narodów. Podobno trzy małe wysepki w pobliżu wybrzeża stanowią część tego prastarego lądu.

Ludność Epidaurusa według podania przeniosła się na skałę, stanowiącą obecnie nadmorską część Raguzy. Nazwano ją poprostu skałą, czyli Lavsa, co z biegiem czasu przerodziło się w nazwę Dubrovnik.

Przez ciąg wieków oba osiedla połączyły się i ufortyfikowały przeciw wspólnym wrogom. Jeszcze w wieku XI-ym, gdy pierwotne miasto, jeszcze drewniane, spłonęło, ów kanał morski istniał, zamulony i tak małowodny, że z łatwością zasypano go, jednocząc nowe miasto nowym węzłem. Ów kanał, dzisiejsza główna ulica miasta, t. zw. Stradon, lub Plac Krala Petra, pozostał częścią osiedla, najwrażliwszą na trzęsienia ziemi i wielka klęska, jaka nawiedziła Dubrovnik w roku 1667-ym, głównie odbiła się na tych miejscach.

Od tego wielkiego trzesienia ziemi datuje się upadek Dubrovnika, wspaniałej i bogatej rzeczypospolitej, która przetrwała tysiąc lat, dzierżąc w swej dłoni handel nieomal całej Azji i Europy. (W wieku XV i XVI-ym flota handlowa Raguzy była znacznie większa niż Anglji).

W zwiazku z Wenecją, lub Bizancjum, następnie z Turcją, Raguza potrafiła utrzymywać swoją niepodległość, aż do chwili, gdy Napoleon rozbił tę niezależność, sprowadzając dumną respublikę do rzędu małego, prowincjonalnego miasta. Wpływy włoskie i słowiańskie można zauważyć do dziś dnia i zupełnie naturalnem zjawiskiem był tu wielki poeta Gundulicz, piszący po herwacku i marzący o wspólnej akcji Słowian przeciw Turcji, wzywający w swym poemacie „Osman“, króla polskiego, Władysława IV-go do przymierza przeciw niewiernym.

Do dziś dnia sterczą stare mury, okalające miasto, budzą podziw już nie siłą, a pięknością mocarnej budowy. Dwa wejścia do miasta, strzeżone ongi przez klasztory Franciszkanów i Dominikanów, są tak przedziwnie zbudowane, że miasto odsłania się oczom wchodzącego dopiero w ostatniej chwili, wywołując uczucie niespodzianki. Miasto — zabawka: czyściutkie, miłe, pełne ruchu i życia, pełne dzieciarni wśród prastarych murów, pełne uśmiechu, wesołości, słońca. Na każdym kroku uderza i czaruje oczy piękna architektura oraz zadziwiajaco umiejętne wykorzystanie małych przestrzeni dla wydobycia przepięknych perspektyw oraz dla uwypuklenia piekności pałaców, kościołów, klasztorów i kaplic, jakie sa tu rozsiane bez liku. Za stara Diviną (Dogana), urzędem celnym republiki, oraz po za pałacem książęcia dwa wejścia do portu Raguzy; — port stary, pełen dziwnego czaru i życia swoistego, — przewijają się tutaj barki z węglem i drzewem z Albanji, z rybami, owocami, winem, z wysp rozsianych po Jardanie, rybackie łodzie przeróżnych kształtów, a nawet niekiedy widać, stojące w odali, wielkie okręty, dowożące na kilka godzin Anglików i Amerykan.

Z nowego molo, — Porporeli, widać, jak na dłoni, piękną wyspę Lokrum, gdzie przez 800 lat siedzieli Benedyktyni. Według legendy, przeor ich, gdy Raguza eksmitowała ostatecznie klasztor, przeklął każdego właściciela wyspy. Wśród tych właścicieli byli: cesarz Maksymiljan, arcyksiążę Rudolf, oraz szereg pomniejszych osobistości, których śmierć gwałtowna potwierdziła legendę. Obecnie w warunkach idealnych, wśród bogatej zieleni tej pięknej wyspy, mieści się uzdrowisko dla dzieci Jugosłowiańskich. Takież samo uzdrowisko dla dzieci czeskich mieści się na półwyspie Lapadzie, — o zakładzie dla dzieci polskich nikt dotychczas nie pomyślał, choć słońce i jod, rozsiany tu w powietrzu, leczą znakomicie.

(W pobliżu Ombli są tu bogate źródła siarkowe, dotychczas nie eksploatowane. Na każdym kroku na murach miejskich widzi się postać świętego Błażeja, (sv. Vlaho), trzymającego na lewem ręku Dubrovnik, prawą błogosławiącego ludziom i morzu. Corocznie, 2-go i 3-go lutego obchodzi miasto najuroczystsze ze swych świąt: dzień swego patrona i opiekuna: — na to święto zbiega się mnóstwo ludu ze wszystkich okolic, aż po Czarnogórze, aż po Albanje.

W uroczystej procesji niosą relikwie tego świętego, pięknie oprawione w szkatuły i relikwiarze bizantyjskie z VII-go i X-go wieku, włoskie, francuskie i raguzańskie roboty, pełne maestrji klejnoty. Miasto zostaje iluminowane rzęsiście, ognie sztuczne, tombola, muzyki pełno i obfitość wiwatowych strzałów zaczynając od armatnich i samopałowych, kończąc na pukawkach, robionych przez chłopaków z klucza, gwoździa, sznurka i łebków od zapałek.

Z niczego Dubroviczanie nie są tak dumni, jak ze swego święta 2-go i 3-go lutego. W tym roku zostało wzbogacone to święto przez wykonanie mojego misterjum pod tytułem „Cud św. Błażeja“, które napisałem do słów największego współczesnego poety i dramaturga Jugosławji, Iva Vojnovicza. Muzykę tę wykonano przy udziale przeszło 200 osób orkiestry i chórów, przyjęto to entuzjastycznie i postanowiono wykonywać nadal w dzień święta patrona miasta przy udziale większej liczby wykonawców oraz inscenizacji i kostjumach.

Zima ubiegła, tak sroga dla całej Europy, była w Raguzie wyjątkowo piękna, — dopiero klasyczny czas niepogód całego południa Europy, t. j. od połowy lutego do połowy kwietnia, mamy dżdżysty i zacinany mroź-

---

MARJA INGEBORG SICK.

Panna Elza.

Z ludźmi działo się podobnie; powoli podzielono ich w myśli na dwie grupy: żałoby i wesela.

I znowu byli ci drudzy dla wielu milsi, niż pierwsi, chociaż można było wyczuć, że pierwsi są może lepsi, i że właściwie należałoby być takimi, jak oni.

Sympatja była niewątpliwie po stronie ludzi wesela, ale z tego powodu sumienie było jakby czemś obciążone.

To jest tylko chwilami, gdyż z czasem — z czasem zjawiało się coś, po czem jakby jakiś tajemny kamień z serca spadał.

Było bowiem imię, które się słyszało przez całe życie — zawsze. Nie można było sobie przypomnieć kiedy je po raz pierwszy usłyszano, tak, jak nikt nie wiedział, kiedy i od kogo po raz pierwszy usłyszał, że mama nazywa się mama.

Tem imieniem rozpoczynał się dzień, i niem kończył, jak echem dzwonów kościelnych, imię to było złączone ze wszystkiemi zdarzeniami dnia, z jego radościami i troskami, jak duże spoidło tkaniny, co utrzymuje wszystko w całości.

Imię to należało do wieczoru wigilijnego podobnie, jak wielkie gwiazdy, które błyszczały ponad aleją leszczynową. Jedna zwłaszcza była jaśniejsza od innych, a wznosiła się ona akurat ponad białą łąką, i dlatego nazywano ją, nie wiedząc dlaczego „Łąką pasterzy“.

Imię to jaśniało wśród świateł na wielkiem, cudownem drzewie, dźwięczało wokoło wśród przynoszących radość kolęd i rozlegało się przez cały rok podczas nabożeństw niedzielnych.

Będąc małem dzieckiem—nie rozumiało się nic z ojca długich kazań w kościele, prócz właśnie tego imienia, które stale i stale powracało, i które brzmiąc łagodnie i czysto, było wiarogodnem tłómaczeniem słowa, które doko.ła dźwięczało: święty, święty, święty! Tak, to musiało mieć dźwięk tego imienia.

Ale powoli stawało się większym, dorosłym — a z czasem można było już dobrze śledzić za wszystkiem. Wówczas trzeba było zacząć się uczyć, i samemu opowiadać historję biblijną. I wtedy, — wtedy — odkrywało się z radosnem zdziwieniem i niewypowiedzianą ulgą, że właśnie to imię przechylało się na stronę wesela i radości, że należy do słonecznej łąki z jej pięknemi kwiatami.

„Przyjrzyjcie się liljom polnym!“ — stało wyraźnie napisane. Nie liljom w ogrodzie, poważnym, wysokim kwiatom grobowym, lecz liljom polnym — a ta nazwa obejmowała stokrotki, dzwoneczki i inne kwiatki.

Kwiaty weselne otrzymywały pierwszeństwo, gdyż je ludzie trzymali przy sercu.

Podczas pogrzebu natomiast imię to występowało nie jako cierpiące, okryte żałobą, lecz jako niespodziewany, gwałtowny burzyciel.

nym Borą z północy, choć słońca nie brak i te dwa miesiące, jedyne przykre na Południu, można sprowadzić do czternastu dni słoty i chłodu.

Wkrótce zakwitną glicynje, a z niemi wybuchną nawałnicą kwietną oleandry, — kwiaty ulubione Dubrovnika-Raguzy, hodowane tu we wszelkich odcieniach, nieznanych gdzieindziej.

Oto zwolna surowa opowieść murów Raguzy, w zieleni oraz powodzi kwiatów, zamienia się w bajkę czarodziejską, wśród której ginie nawet bezwzględna realność szarych tłumów gości z Niemiec, Czech, Anglji i Ameryki, niekiedy urozmaicona zbyt nielicznymi gośćmi z Polski.

Związek wszechświatowy krzewienia przyjaźni między narodami przez kościoły.

Związek powyżej wymieniony jest znany u nas w Polsce, szczególniej wśród ewangelików. Jednoczy on w sobie wszystkie Kościoły i organizacje religijne, prócz Kościoła rzymsko-katolickiego, który wysyła na jego zjazdy jeno obserwatorów. Ostatni taki zjazd odbył się w Pradze Czeskiej w ostatnich dniach sierpnia roku bieżącego. Jest to już trzeci taki zjazd. Pierwszy odbył się w Sztokholmie, drugi w Kopenhadze. Praski zjazd był bardzo licznie obesłany. Trzydzieści ośm narodów i państw ze wszystkich części świata wysłały swych przedstawicieli i delegatów. Jedynie delegat z Australji nie przybył, gdyż nieprzewidziane trudności stanęły mu na przeszkodzie.

Z Polski byli obecni na tym zjeździe: N.P.W. ks. biskup J. Bursche z Warszawy, N.P.W. ks. biskup Blau z Poznania, księża: superintendent Hildt z Poznania, Skierski (ew.-ref.) z Warszawy oraz radca Dietrich z Łodzi, który specjalnie przybył z Hamburga, dokąd jeździł na Ogólną Konferencję Luterską z ramienia Konsystorza Warszawskiego. Tematem głównym i bodaj jedynym wszystkich prawie posiedzeń było ogólne rozbrojenie.

Zaraz perwszego dnia 25 sierpnia pracował Komitet Zjazdu. W niedzielę dnia następnego odbyły się nabożeństwa we wszystkich kościołach, z wyjątkiem rzymsko-katolickiego, — podczas których w kazaniach poruszane były idee, przyświecające Związkowi.

W kościele czesko-braterskim na Vinohradach — wygłosił kazanie N.P.W. ks. biskup Bursche. Kazanie to w całości wydrukowane zostało w poprzednim numerze „Głosu Ewang." — Wieczorem tegoż dnia w olbrzymiej sali reprezentacyjnej Rady Miejskiej odbyło się publiczne zebranie, na którem różni mówcy przemawiali na temat ogólnego rozbrojenia, które jest celem wytężonych prac Związku Wszechświatowego Krzewienia Przyjaciół między Narodami przez Kościoły.

W poniedziałek 27.VIII odbyła się ogólna sesja Zjazdu, na której prezydent Sądu Najwyższego Rzeszy Niemieckiej, dr. Simons, wygłosił wspaniały odczyt pod tytułem: „Die moralischen und religiösen Grundlagen des Weltfriedens". (Moralne i religijne podstawy wszechświatowego pokoju). Główna myśl tego odczytu dałaby się streścić, jak następuje: Ani prawo, ani pakty nie pomogą, jeżeli nie nastąpi rozbrojenie moralne narodów.

Cała ta sesja poświęcona była sprawom rozbrojenia, a następne dni — we wtorek i środę, ten sam temat był dyskutowany i omawiany z różnych punktów widzenia. Nawet pewien ekonomista dowiódł, że pokój ogólny musi być, gdyż ze względów gospodarczych wojna jest niemożliwa.

Oprócz powyższego głównego tematu, który zajął uwagę i energję wszystkich na zjeździe, były też inne sprawy, ale mniejszej wagi i straciły na aktualności, jak naprzykład kwestja mniejszości wyznaniowych.

Trzeba zaznaczyć, że Czesi podejmowali swych gości zjazdowych nad wyraz gościnnie. Urządzone zostały przyjęcia i rauty przez miasto Pragę, przez ministerstwa. Prezydent Masaryk przysłał gratulacje. Tramwaje miejskie ofiarowały się z wolnemi przejazdami dla członków Zjazdu, a ministerstwo kolei dało zniżki kolejowe w wysokości $^{1}/_{3}$ cen biletów. Organizacja sprężysta, która przewidziała wszystko do najdrobniejszych szczegółów — kierował jej przewodniczący, profesor Žilka.

Wynoszono młodzieńca — czy innego człowieka — który miał być pogrzebany. I cały ten orszak pogrzebowy ze smutnemi twarzami i stęchłym zapachem ubrań bywał zatrzymywany w drodze na cmentarz. Zmarły został wskrzeszony i oddany matce, zamiast być oddanym ziemi. Podobnie stało się z kilku innymi.

Nie, to imię było w stosunku do całej istoty pogrzebu było bezwarunkowo w dużem przeciwieństwie.

Zaś wesele w Kanie, czy też gdzieindziej — chociaż jednak w Kanie, gdyż to była Święta Ziemia, gdzie miało miejsce wszystko dobre — i tam to wesele odbywało się bez przeszkód. O, tak, ludzie dostali nawet dużo wina, gdy im nie starczyło własnego, aby tylko nic nie zaćmiło im radości.

A na innem miejscu — nie wiedziano dobrze, gdzie, ale ojciec sam to czytał — zostali apostołowie wyraźnie nazwani „gośćmi weselnymi". To była piękna nazwa. I faktycznie ładniej brzmiała nazwa „gości weselnych", niż nawet „nawrócony" lub „wierzący".

A „Królestwo niebieskie", które dla człowieka było tem samem, co niebo błękitne, i potem jeszcze przez długi czas, kiedy już dobrze i napewno wiedziano o wszystkiem, to „Królestwo niebieskie" było weselem, i tylko weselem, aż na wieki.

Nic przeto nie było w tem dziwnego, że lalka obchodziła całe lato wesele, chociaż ojciec powiedział trochę z ironicznym uśmiechem: „No, cóż, znowu ona obchodzi wesele?" A mógł przecież wiedzieć, że wesele można obchodzć całą wieczność.

Ludzie jednak byli dziwni. Wyglądało, jakby nie widzieli związku między weselem i łąką kwiecistą a tem imieniem.

I samemu zdawało się, że pokochał wszystko jeszcze bardziej od czasu odkrycia tego związku.

Ale ludzie byli rzeczywiście dziwni. Wprost zapomnieć nie można tego strasznego, niedzielnego popołudnia, kiedy to Andrzej Madsen, stolarz ze wsi, przybył na łąkę z całą swoją „menażerją", jak mówiła Dorthe, rozumiejąc przez to jego ośmioro czy dziesięcioro dzieci.

Położył się ze swą fajką tuż pod wzgórzem i pluł co chwila swą brunatną śliną na największą z białych stokrotek, gdy tymczasem „menażerja" tarzała się po kwiatach, wyrywała je z korzeniami i odrywała im główki.

Drżąc z oburzenia uciekło się ze wzgórza, gdyż nie można było się na to patrzeć. A Andrzej Madsen był przecież jednym z ludzi wierzących, gdyż obchodził innych i pytał się ich, czy są też wierzącymi. A jakże to było możliwe?

Być wierzącym, objaśniała nam matka — gdyśmy byli jeszcze małemi dziećmi, — znaczy tyle, co być dobrym; ale potem, gdyśmy wyrośli — mówiła, że to znaczy tyle, co umiłować to wielkie imię bardziej, niż ojca i matkę.

„Przyjrzyjcie się liljom polnym". Słowo to jest jakby biała ręka, która wyciąga się i ostrożnie chwyta za delikatne zielone łodyżki, i obraca małe kielichy do światła, aby każdy mógł zobaczyć, jak piękne są, i aby nikt nie odważył się ich skrzywdzić.

Budowa Ewangelickiego Domu Starców w Turku

Parafja ewang.-augsb. w Turku obchodziła w dniu 23 kwietnia r. b. rzadką uroczystość założenia kamienia węgielnego pod wyżej wymienioną instytucję dobroczynną. Przy poświęceniu obecni byli prócz Komitetu budowlanego i parafjan również przedstawiciele Władzy z panem Starostą powiatu tureckiego na czele. Po przemówieniu miejscowego ks. pastora oraz modlitwie, nastąpił tradycyjne 3-krotne uderzenie młotkiem o duży kamień, który następnie spuszczono do fundamentu. Obok zamurowano dokument erekcyjny, który poprzednio został przeczytany i przez obecnych gości oraz Komitet budowlany podpisany.

Od tej uroczystości upłynęły prawie 4 miesiące. W tym czasie pilnie budowano, tak, że dom już jest pod dachem i prawdopodobnie późną jesienią będzie poświęcony i oddany do użytku. Sądząc, że niejeden z czytelników zainteresuje się budową, załączam krótki opis dotychczasowych zabiegów i prac celem urzeczywistnienia takowej.

Podczas wojny światowej panowała śród tkaczy ręcznych Turka i okolicy wielka nędza. Ta okoliczność skłoniła miejscowego ks. pastora wraz z kilkoma szlachetnymi członkami zboru do założenia przytułku. W tym celu wynajęto 2 pokoje, które mieszczą najwyżej 9 osób i są oprócz tego przedzielone korytarzem. O wynajęciu innego mieszkania na dogodnych warunkach nie mogło być mowy z powodu wielkiego braku mieszkań.

Tymczasem instytucja rozwijała się na skutek ciągłego napływu ubogich nietylko z miasta, lecz i ze wsi. Od kilku lat jednak nastąpił zastój, gdyż w obecnym lokalu powiększenie liczby ubogich i racjonalna gospodarka są niemożliwe. Wobec tego powstała myśl wybudowania własnego Domu Starców. Plan ten przyjęty został przez ogół sympatycznie, nawet przez inowierców. Rada Miejska zaofiarowała parafji piękny, dogodnie położony plac za nikłą sumę 250 zł.; plac został oczywiście nabyty. Oprócz tego zaczęły wkrótce napływać zewsząd ofiary na skutek odezwy Komitetu budowlanego i szczególnie dużo ofiar wpłynęło od byłych parafjan w Ameryce i w kraju zamieszkałych. Ogólna suma tych ofiar przekracza dotąd 5.000 zł. Nawet i Sejmik Powiatowy wyraził swą przychylność dla sprawy budowy jednorazowym darem w ilości 3.000 zł., wychodząc przytem z założenia, że nowy Dom Starców przyjmować będzie ubogich ewangelików z całego powiatu. Zresztą i Komitet budowlany zaraz na początku postanowił wybudować większy dom, aby można było przyjmować w miarę możności również ubogich z innych parafij, ponieważ przy większej ilości osób koszty utrzymania są stosunkowo niższe.

Co prawda będziemy mogli przyjąć tylko takich, za których zobowiąże się płacić odnośna władza (magistrat lub urząd gminny), do czego nawet jest prawnie zobowiązana, jeżeli ubogi jest niezdolny do pracy zarobkowej i niema żadnych środków utrzymania. Ponieważ w budynku znajduje się prócz 2 większych sal kilka mniejszych ubikacyj, można będzie ewentualnie przyjmować i takich starców, za których płacić będzie rodzina.

Przy budowie nie brakło oczywiście i różnego rodzaju trudności, przedewszystkiem z powodu braku gotówki. Pomimo wyżej wymienionych ofiar oraz zaciągnięcia pożyczki w Banku Gospodarstwa Krajowego w ilości 10.000 zł. i zwiezienia przeważnej ilości materjałów budowlanych przez parafjan, sporo jeszcze brak pieniędzy, ażeby budowę wykończyć. Nie ulega kwestji, że i parafja, nie zważając na dotychczasowe ofiary i podwody, obciąży się poważną składką na ten cel; niemniej jednak potrzeba będzie wielu ofiar, aby rozpoczęte dzieło doprowadzić do końca.

Dla tego niżej podpisany zwraca się do współwyznawców, zwłaszcza do dawnych parafjan, z gorącą prośbą: dopomóżcie nam dokończyć rozpoczętą budowę! Za wszelkie ofiary składam zgóry w imieniu ubogich serdeczne: „Bóg zapłać!". Pan zaś, który dotąd łaskawie dopomógł, niech i nadal czuwa nad tą budową, aby wszystko mogło być dokonane ku czci Świętego Imienia Jego.

Ks. pastor Sachs.

P. S. Po ukończeniu budowy Komitet budowlany nie omieszka ogłosić w „Głosie Ewang." wykazu ofiar.

I oto przyglądał się Andrzej Madsen spokojnie, jak „menażerja" małemi, krępemi, czarnemi piąstkami, któremi przed chwilą wycierała wiecznie brudne nosy, plądrowała między kwiatami i zrywała je.

Tak, ale wówczas nie należy ich przynajmniej nazywać wierzącymi.

Bowiem było niemożliwe, aby on myślał, że jest rzeczą bogobojną niszczyć ozdobę kwiatową i dopełnić pogrzebu z jak najmniejszą radością.

A jednak mogło to być możliwe, gdyż znało się przecie wielu — ludzi pogrzebowych, — którzy łączyli to wielkie imię tylko z cmentarzem.

I oni mieli dość słów biblijnych, na których mogli oprzeć swoje poglądy, słów, które brzmiały smutnie i surowo, jeśli były wymawiane przez usta, które z ciągłej powagi stały się wykrzywione i wydłużone. Oni mieli dość słów, których nie znało się, ponieważ mama mówiła, że trzeba wpierw nauczyć się tych, które się lepiej rozumie i które można pokochać.

A kiedy podrośniemy, to nauczymy się i tamtych. Ale jeśli ma to znaczyć, że się przejdzie powoli z wesołej strony na smutną, to już lepiej, gdy się zostanie zawsze dzieckiem.

Ale nie, lepiej już urość, aby być „młodym" i móc być na weselu. Ale i na tem najlepiej byłoby zatrzymać się i nie zestarzeć się za żadną cenę, aby nie zniedołężnieć i skończyć pewnego dnia śmiercią i pogrzebem!

(d. c. n.)

Sprawa sądowa

Ks. pastora F. Glocha przeciwko organowi hakatystów łódzkich — tygodnikowi „Volksfreund", za zniewagę w druku.

Redaktor „Volksfreundu" skazany przez Sąd Okręgowy w Łodzi na 3 miesiące kozy, 900 złotych kary i 100 złotych opłat sądowych.

Wszyscy czytelnicy „Głosu Ewangelickiego" pamiętają polemikę na początku roku ubiegłego pomiędzy ks. pastorem Dobersteinem w Łodzi i jego organem „Weg und Ziel", a „Głosem Ewangelickim" z powodu przeniesienia przez Konsystorz Warszawski ks. pastora A. Loefflera z Konina do Przedcza. Polemika była ostra, ale ostatecznie zakończona została przez wyczerpanie sprawy i z powodu poddania się wreszcie ks. Loefflera wyrokowi konsystorskiemu. Przebrzmiałaby ona niewątpliwie bez echa, gdyby nie wtrącił swoje trzy grosze organ wojującego hakatyzmu łódzkiego „Volksfreund", którego właścicielami i inspiratorami generalnymi są panowie Utta, Spickermann, Stuldt i im podobni „działacze". Organ ten, nie mając rzeczowych argumentów na zarzuty postawione im przez „Głos Ewangelicki", w artykule pod tytułem **„My i Wy"** w N-rze 12

z roku ubiegłego napadł na autora tego artykułu, ks. F. Glocha i w ordynarny sposób znieważył go ulicznemi wyzwiskami. Wobec tego, że „Volksfreund" i stojący za kulisami jego właściwi redaktorzy już wielokrotnie przedtem znieważali polskich ewangelików, Polaków-pastorów, ks. Superintendenta Generalnego i Konsystorz Warszawski i uchodziło im to bezkarnie, wiedzeni przeto pruską butą i bezczelnością — mniemali, że i tym razem ujdzie im ich występek płazem. Ale się srodze omylili. Ks. Gloch wniósł skargę do prokuratora Sądu Okręgowego w Łodzi przeciwko redaktorowi odpowiedzialnemu „Volksfreund'u", panu Robertowi Schwartzowi i poprosił o wdrożenie dochodzenia karnego z art. 533 kodeksu karnego i o odpowiednie surowe ukaranie.

Na pierwsze wezwanie Sądu celem załatwienia sprawy polubownie, oskarżony się nie stawił. Na drugiej sesji sądowej strona oskarżona wezwała świadków: pp. A. Uttę, J. Spickermanna, K. Stuldta i A. Zieglera, — wszyscy — współwłaściciele oskarżonego tygodnika „Volksfreund". Propozycja ks. Glocha, aby cofnęli publicznie słowa obrażliwe i przeprosili go za zniewagę, została przez świadków, zastępujących nieobecnego „redaktora odpowiedzialnego" w całym tym procesie, odrzucona. Za to na tejże sesji sądowej obrońca „Volksfreundu", pan adwokat Rafał Kempner zażądał, aby inkryminowany artykuł został przełożony na język polski przez urzędowego tłumacza. Tłumaczem takim urzędowym okazał się dyrektor niemieckiego gimnazjum w Łodzi, p. Ingersleben. Z tego powodu sprawa została odłożona. Przyszedł trzeci termin rozprawy. Ale panom posłom, którzy mieli świadczyć — „wypadło" wówczas jechać na sesje parlamentarne do Warszawy — i znowu sprawę odłożono. Przewodniczący Sędzia p. Kozłowski jeszcze raz proponował, aby sprawę załatwić w polubowny sposób. Ks. Gloch zażądał znowu odwołania słów obelżywych i zwrotu kosztów sądowych. Oskarżeni mieli dać odpowiedź, ale pewność, że ujdzie im występek bezkarnie — kazała im widać pozostawić tę propozycję Sędziego bez odpowiedzi. Wreszcie wyznaczono czwarty termin rozprawy na dzień 10 września r. b. w Sądzie Okręgowym Łódzkim przy ulicy Żeromskiego Nr. 115. Przewodniczył Sędzia Kozłowski, asystowali sędziowie: Komarnicki i Ławacz.

Oskarżony, jak i przedtem, się nie stawił, w jego imieniu występował pan adwokat Rafał Kempner z Łodzi — no i trzej świadkowie: pp. Utta, Spickermann i Stüldt. P. A. Ziegler się nie zjawił, sprawę rozpatrzono bez niego. Na wstępie przewodniczący Sędzia znowu ponowił propozycję polubownego załatwienia sprawy, ale obrońca strony oskarżonej oświadczył, że do tego nie jest upoważniony, wobec czego rozpoczęto rozprawę.

Za zgodą obu stron—świadków zwolniono od przysięgi, aczkolwiek przewodniczący przypomniał, że muszą tak prawdę mówić i za to są tak samo odpowiedzialni, jakby zeznawali pod przysięgą. Ks. Gloch zeznawał z zezwolenia sądu w charakterze świadka, obrońcą zaś jego był były podprokurator Sądu Okręgowego w Warszawie, a obecnie adwokat p. Edmund Biejat. Pierwszy zeznawał ks. Gloch. Przemówienie jego da się streścić w następujących słowach:

Przemówienie oskarżyciela, ks. Feliksa Glocha.

Wysoki Sądzie!

Sprawa niniejsza nie jest wyłącznie moją osobistą, i nie dotyczy tylko mojej osoby. Ja jestem tylko jeden z tych wielu ewangelików - Polaków, w których imieniu za ciągłe obelgi i potwarze szukam wreszcie satysfakcji przed sądem i wytaczam z tego powodu skargę przeciwko obozowi hakatystów wojujących w Łodzi, których organami są pisma: dziennik „Lodzer freie Presse" i tygodnik „Volksfreund". Aby zrozumieć dobrze sens tej sprawy, trzeba sięgnąć pamięcią w przeszłość i odtworzyć tło historyczne, na którem ona powstała. Pozwoli przeto Wysoki Sąd, że zajmę Mu trochę więcej czasu i uwagi i opiszę te stosunki wśród ewangelików w Polsce, jakie się wytworzyły od czasu wojny.

Wiadomą jest rzeczą, że ewangelicy w Polsce — są przeważnie Niemcy. Przed wojną — byli wszyscy spokojni, lojalni w stosunku do społeczeństwa polskiego, nie wtrącali się do polityki, mieli zaufanie do Władz Kościelnych i do swych przewodników duchownych.

Gdy do kraju weszli okupanci — rozdmuchali oni w tych spokojnych mieszkańcach Polski niemiecki szowinizm i puścili po kraju całym pomiędzy kolonistów swych agitatorów. Siedliskiem działalności tej okupantów — była Łódź. Tu założyli główne swe organa prasy, tu też wyszukali sobie pomocników. W tym też okresie znalazły się pewne jednostki w Łodzi, które wystosowały memorjał do Kanclerza Rzeszy do Berlina o przyłączenie całego Okręgu łódzkiego do Niemiec. Gdy okupanci opuścili kraj i powstało Państwo Polskie — działacze niektórzy hakatystyczni, jak Adolf Eichler i inni musieli, jako wrogowie jawni Polski, kraj opuścić i przenieśli się do Prus. Zamknięte zostały także i okupacyjne gazety niemieckie, ale zaraz na ich miejsce powstały nowe, pod inną nazwą, ale w tymże samym duchu redagowane i prowadzone. Prostymi następcami owych gazet jest obecnie dziennik „Lodzer freie Presse" i tygodnik „Volksfreund". Nie potrzebuję opisywać ich charakteru, gdyż częsta konfiskata ich przez władze administracyjne za przeciwpaństwową działalność, dostatecznie mówią za tem. Dokoła tych pism grupuje się klika zorganizowana haktystów łódzkich. Że tak jest, dowodzi, że jeden z redaktorów „Lodzer freie Presse" pan Berehns, był aresztowany przez władze polskie i sądzony za uprawianie szpiegostwa na rzecz Niemiec. Inny — Adolf Eichler, pomimo wypędzenia go, jako szpiega z granic Polski, ciągle i stale dotychczas zasila tygodnik „Volksfreund" swemi artykułami i jawnie a bezczelnie podpisuje je nawet swem imieniem i nazwiskiem. I oto pisma te, utrzymujące stały kontakt z zagranicą,szkalują i spotwarzają wszystko, co polskie, a w szczególności, co polskie - ewangelickie. Polak-ewangelik — jest dla nich największem zgorszeniem Oni, którzy stają tak chętnie, a obłudnie w obronie rzekomo zagrażanego w Polsce protestantyzmu, wolą stokroć więcej Polaka-katolika, niż Polaka-ewangelika. W pierwszym rzędzie skupiła się ich nienawiść na Superintendencie Generalnym Kościoła naszego, ks. Juljuszu Burschem za jego polskość i za jego działalność na rzecz Państwa Polskiego.

Kiedy ks. Sup. Gen. Bursche na zaproszenie rządu polskiego jechał na Konferencję Pokojową w Wersalu — Niemcy łódzcy wraz z Niemcami berlińskimi używali wszelkich sposobów, aby go odwieść od tego. Superintendent Generalny w Berlinie Dibelius przy spotkaniu się na konferencji w Berlinie z ks. Sup. Gen. Burschem — powiedział, że jeżeli będzie występował w obronie polskiego rządu, a przeciwko łączności poznańskich ewangelików z Berlinem, to imię jego będzie najhardziej znienawidzonem wśród protestantów całego świata. Na to odpowiedział ks. Sup. Gen Bursche: „Ale będę przynajmniej wiedział, gdzie jest źródło tej nienawiści". I rzeczywiście z tego źródła — popłynęły trucizny na wszystkie strony, a przedewszystkiem do Łodzi. W pismach: „Lodzer freie Presse" i „Volksfreund" obrzucano go najohydniejszemi obelgami i potwarzami. Gdy odbywały się plebiscyty na Śląsku i na Mazurach, kpili publicznie z jego patrjotyzmu, podrywali jego autorytet u wyznawców naszego kościoła, przezywano go „Masurenkönig" i obdarzano ulicznemi epitetami.

Gdy rząd polski postanowił otworzyć wydział teologji ewangelickiej na uniwersytecie warszawskim — znowu pisma powyższe i cała klika hakatystyczna łódzka podniosła gwałt, że będą tam wykłady prowadzone nie po niemiecku, ale po polsku. Dotychczas

wszyscy pastorzy studjowali na wydziałach niemieckich i każdy pozostał przy swojej narodowości i każdy musiał później poznać terminologję polską i nauczyć się mówić kazania po polsku. Dlaczego obecnie nie może być odwrotnie? Niema wreszcie takiego państwa, któreby zakładało fakultety przy uniwersytetach, prowadzone w obcych językach. Wyjątek stanowił Dorpat, gdzie także starano się fakultet zrusyfikować, ale gdzie wpływy niemieckie, miejscowe i zagraniczne, temu ostatecznie zapobiegły. Zatem fakultet teologiczny warszawski dotychczas jest atakowany i zohydzany przez hakatystów łódzkich tylko dlatego, że polski. Na dowód tego przedstawiam fotografję proklamacji pana Utty, przeciwko wychowankowi fakultetu warszawskiego, który stawał do wyborów na pastora w parafji nowodworskiej (Nr. 52 „Głosu Ewang." z roku 1926).

Gdy zebrał się Synod Konstytucyjny naszego Kościoła w roku 1922 celem uchwalenia nowej ustawy, ciż sami hakatyści, otumaniwszy będących w większości prostaczkami kolonistów — starali się narzucić takie paragrafy, któreby im dawały całkowicie w ręce rządy w Kościele. Dopiero stanowcza postawa mniejszości polskiej, która zagroziła rozłamem i ogłosiła deklarację wyjaśniającą ten rozłam, i demaskującą zakulisowe machinacje hakaty łódzkiej, przestraszyła prowodyrów tej kliki i zmusiła ich do ustępstw. Wreszcie jeszcze jedna sprawa, która spowodowała niniejszą rozprawę sądową.

Władze administracyjne i ministerjalne zażądały od naszego Konsysorza w Warszawie usunięcia ks. A. Loefflera z Konina ze względu na jego szkodliwą działalność. Konsystorz kazał mu przejechać do Przedcza, nie pozbawiając go jednak urzędu. Z tego powodu rozpoczęła się ostra a niesłychana naganka na Konsystorz w prasie hakatystycznej łódzkiej i napaści na Władze Kościelne, jakich nigdzie i nigdy dotąd nie spotykano. Ks. Doberstein w swem pisemku nowozałożonem „Weg und Ziel" — podburzał wprost do nieposłuszeństwa swej władzy i otwarcie podzielił ewangelików na „Lodzer Kreis" i „Warschauer Kreis" — na „Wir und Ihr".

W odpowiedzi na jego napaści napisałem szereg artykułów w polskim organie „Głosie Ewangelickim", w których przeprowadziłem porównanie, kto są „My" i kto są „Wy". Artykuł ten, jak Wysokiemu Sądowi wiadomo z aktów sprawy, kończy się zdaniem, że „My" to — protestanci polscy z tradycją, „Wy" — to karjerowcze i hakatyści. **Nasze** Niemcy — to Kant, Goethe, Schiller, **Wasze** Niemcy — to Hindenburg, Ludendorff i Wilhelm. „Volksfreund" wówczas i jego redaktorzy, nie mogąc wobec mego wystąpienia znaleźć rzeczowych argumentów — ogłosili artykuł, w którym w ordynarny sposób za moją obronę Polski i polskości w naszym Kościele, za moją lojalność i patrjotyzm nazwali mnie po niemiecku — „Schurke", to znaczy podlecem i warjatem.

Nie mogłem na to inaczej zareagować, jak tylko skierowaniem całej sprawy do Sądu.

W sprawie tej ścierają się dwa kierunki, dwie myśli, dwa odłamy polityczne. Jeden — to oskarżony redaktor „Volksfreundu" i jego świadkowie o ideologji hakatystycznej, na polskiej ziemi żerującej, nienawidzący wszystkiego, co polskie, czerpiący swe natchnienia z ducha polskości wrogiego; drugi kierunek — to przywiązanie do ziemi, narodu i państwa, to dążenie do szczęścia, potęgi i rozkwitu Rzeczypospolitej Polskiej. Te dwa kierunki zwalczają się wzajemnie. I oto ja, zaliczający się do owego drugiego kierunku, przeszedłszy różne koleje za czasów okupacji niemieckiej — staję obecnie przed Sądem Polskim z zapytaniem: czy za to, że jestem polskim patrjotą, lojalnym obywatelem, broniącym swej Ojczyzny i swych współobywateli i współrodaków dobra i honoru, mogę być przez łódzką hakatę, wrogą wszystkiemu, co polskie, być bezkarnie lżony publicznie od podleców i warjatów? Na to swoje pytanie oczekuję z całym spokojem wyroku Sądu Polskiego!

(Dokończenie nastąpi).

Zaproszenie

Komitet zbierania funduszu na budowę siedziby Tow. Polskiej Młodzieży Ewangelickiej w Warszawie uprzejmie prosi wszystkich, którzy interesują się młodzieżą i ostatnio dali dowód zainteresowania się jej poczynaniami przez poparcie urządzonego losowania, o łaskawe przybycie w dniu 16 września r. b. o g. 20-ej na wieczór odbyć się mający w sali Konfirmacyjnej Zboru E.-Augsburskiego, plac Małachowskiego 1.

Ze względu na wagę spraw, liczymy na niezawodne przybycie.

Porządek dzienny obrad:

1) Zagajenie i wybór przewodniczącego zebrania.

2) Sprawozdanie ogólne z działalności Komitetu od początku powstania.

3) Wydanie nagród z dnia 1.IX.1928 r.

4) Wspólna fotografja (amatorska).

Właścicieli numerów, na które padły nagrody: I Nr. 680, II Nr. 374, III Nr. 523, IV Nr. 037, prosimy o przybycie z biletami.

Nowe Pisma

NOWE PISMA NADESŁANE. „Bielaruskaja zarnica" — (Białoruska zorza) — kościelno - narodowy dwutygodnik, organ prawosławnych Białorusinów. Wilno, ul. Letnia Nr. 7. Rok I. Nr. 1. 1928. Cena numeru 40 groszy. Redaktor - wydawca ks. A. Kolsz.

Wiadomości z Kościoła i ze świata

ZE STANÓW ZJEDNOCZONYCH A. P. Przed paru dniami bawił przez krótki czas profesor socjologji i antropologji na wydziale teologji w Chicago, ks. pastor Paweł Fox. Ks. prof. Fox pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego i po skończeniu szkół w Cieszynie wyjechał przed 32 laty do Ameryki, studjował teologję na uniwersytecie w Cleveland (Ohio) i został duchownym Kościoła prezbiterjalnego. Poraz pierwszy odwiedził swą ojczyznę, a to na skutek spotkania się w Ameryce ze swym dawnym kolegą, ks. seniorem Kuliszem, który przed paru tygodniami stamtąd wrócił. Jeździł on tam w celach zbierania ofiar na zakłady dobroczynne w Dzięgielowie. Od ks. prof. Foxa dowiedzieliśmy się, że Chicago jest drugiem miastem na świecie co do ilości mieszkańców-Polaków, gdyż ma 400.000 Polaków na ogólną sumę 5 miljonów. W Ameryce jest dużo ewangelików - Polaków, a zatem jest także wiele parafij polsko-ewangelickich. Między innemi czynny jest tam, jako pastor, ks. Mikulski, syn naszego pastora łomżyńskiego, ks. Kacpra Mikulskiego, i ks. Potocki, u którego brata, pana mag. Potockiego, właściciela apteki: K. Wendy, ks. prof. zamieszkiwał w Warszawie. Ks. prof. Fox odwiedził w Warszawie różne instytucje oraz osoby, między innemi i redakcję „Głosu Ewangelickiego", którego jest stałym prenumeratorem.

PRYMAS ANGLJI. Arcybiskupem Cantebury i prymasem Anglji mianowany został Dr. Cosmo Gordon Lang, arcybiskup dotychczasowy Yorku. Mianowanie to zwraca na siebie uwagę nietylko w Anglji, i jest komentowane jako zdecydowane odwrócenie się od wszelkich prób katolizujących w kościele anglikańskim. Dr. Cosmo G. Lang jest mianowicie synem pastora prezbiterjańskiego, a wtajemniczeni opowiadają sobie o nim, że nie zapomniał on o tem, iż został wychowany

w duchu radykalnie ewangelickim. Jego pochodzenie i skłonności miały być momentem decydującym przy jego mianowaniu, a mianowicie to ma być potwierdzeniem woli ludu angielskiego, który dwukrotnie odrzucił projekt zmiany common prayer booku w duchu rzymskim. Wysokie sfery anglikańskie przez mianowanie nowego arcybiskupa Cantebury stają wyraźnie po stronie mas ludowych. Vox populi — vox Dei. (EWPOL).

PROFANACJA NIEDZIELI. Jeszcze niedawno śmiano się z radykalnego angielskiego święcenia niedzieli. Obecnie ze wszystkich stron nadchodzą głosy utyskiwań, że niedziela jest coraz bardziej profanowana. Przestała ona już dawno być dniem Pańskim i stała się wyłącznie dniem wypoczynkowym, a raczej dniem rozrywkowym, któremu odebrano całkowicie charakter religijnej odświętności. Osobliwie od czasu upowszechnienia się ćwiczeń i pokazów sportowych, niedziela straciła prawie zupełnie charakter religijny. Ewangelickie duchowieństwo holenderskie wystąpiło bardzo ostro przeciwko grubemu profanowaniu niedzieli w zawodach sportowych ostatniej Olimpjady. Królowa Wilhelmina z tego właśnie powodu odmówiła uczestniczenia w otwarciu Olimpjady w Amsterdamie i wyjechała na cały czas trwania zapasów. W imieniu królowej otwarciu IX Olimpjady przewodniczył książę - małżonek.

Duchowieństwo holenderskie broniące świętości niedzieli, nie jest bynajmniej przeciwne sportom, bo jeden z najwybitniejszych przedstawicieli tego duchowieństwa, pastor T. de Visser, doktór teologji i b. minister sztuk pięknych i oświecenia publicznego, wziął oficjalnie udział w otwarciu Olimpjady i wygłosił mowę o moralnych wartościach sportu. (EWPOL).

„Y. W. C. A.". Wszechświatowy Związek Młodzieży Żeńskiej (Wordl's Young Women's Association) zebrał się po wojnie po raz pierwszy na wszechświatową konferencję w Budapeszcie w czasie od 9 do 17 czerwca r.b. Zjechało się 400 uczestniczek, które repreezntowały 25 narodowości. Praca konferencji szła w 3 kierunkach, omawiano bowiem 1) sprawę pracy biblijnej, 2) cele i metody pracy, oraz 3) zagadnienia socjalne i dotyczące przemysłu. Wymianę myśli w sprawie pracy biblijnej zagaiła pewna Szwedka, mająca za sogą 10 lat pracy na polu misji w Chinach; omawiała ona zagadnienia „nowego życia w Chrystusie", oraz „słowo o pojednaniu i praca dla niego". W czasie obrad nad celami i metodami pracy zaznaczyła się różnica poglądów i sposobów między Amerykankami i Niemkami. Związek reprezentuje pracę, stojącą ponad wszystkiemi wyznaniami, a zmierzającą w kierunku, odpowiadającym ruchowi ekumenicznemu. Przedstawiciele międzynarodowego biura pracy w Genewie zabierali głos w sprawach socjalnych i dotyczących przemysłu, przyczem wyjaśnili oni, że w tych kwestjach ponoszą odpowiedzialność chrześcijanie wszystkich narodowości. Liczne poszczególne przykłady zostały w czasie dyskusji przytoczone dla stwierdzenia, jak niewłaściwie jest zorganizowana w wielu krajach praca dzieci i małoletnich, i jak wielkie wynika stąd zło. Związek opracował kwestjonarjusz z pytaniami, dotyczącemi pracy w przemyśle i chałupnictwie, celem wyjaśnienia wzajemnej zależności różnych krajów oraz rozmiarów napotykanej niedoli.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Wp. Vaedtke z Brwinowa — prenumerata opłacona do końca r. b.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

Dnia 16 września, **w XV niedzielę po Trójcy Św.:**
o godz. 9 rano, nabożeństwo w kaplicy szpitalnej,
o godz. 9 min. 15 nab. szkolne w sali konfirmacyjnej — **ks. prefekt Gloeh,**
o godz. 9 i pół rano, nabożeństwo w języku niemieckim — **ks. pastor Michelis,**
o godz. 11 i pół rano, nabożeństwo w języku polskim — **ks. djakon Rüger.**
Dnia 21 września, 9 rano nabożeństwo komunijne.

W KOŚCIELE GARNIZONOWYM.

Dnia 15 września, o godz. 10 rano nabożeństwo w języku polskim — **ks. senjor Paszko.**

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE URZĘDU PARAFJALNEGO

za czas od dnia 2 — 9 września r. b.

Ochrzczono: 2 chłopców.

Ślub zawarli: Jan Scholl z Stanisławą Fabjańską; Henryk Władysław Beigert z Marją Herdan; Stefan Karol Wojak z Weroniką Marjanną z Zaborowskich Konecka; Eugenjusz Bartłomiej Władysław de Otffinow-Otffinowski z Alicją Reginą Sikorską; Karol Lucjan Najbert z Franciszką Kazubińską; Edward Hensler z Matyldą Wild.

Zmarli: Ryszard Schwartz, syn robotnika, l. 1 i pół; Leokadja Ruppel, córka stolarza, l. 19; Jakób Nabe, pensjonarz domu starców, l. 52; Jan Felscher, robotnik, l. 27; Alfred Schirle, robotnik, l.20; Rozalja Kopp, robotnica, l. 24; Emilja Dering z d. Neumann, pensjon. domu starców, l. 61.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 złote; miesięcznie 1 złoty. Wpłacać można w administracji — Kancelarja Zboru codziennie od 9 — 2 i 3 — 5, telefon 8-26. Redaktor naczelny Ks. pastor LOTH, Królewska 19, przyjmuje codziennie od 11 — 12 rano telefon 184-15. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Kredytowa 4 m. 3, tel. 310-15.

Redaktor: **Ks. AUGUST LOTH.** Wydawca: **Ewang. Sp. Wyd. „Logos".**

ZAKŁ. DRUK. F. WYSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA, WARECKA 15.